

Sztuka nie zna limitu cz. 2

Artyści nie mają żadnych zahamowań, żeby mówić rzeczy, które mogą wywołać wokół nich sensację. Gdy piosenkarka powie, że jest zoofilką i pierdoli ją jej pies, którego z kolei pierdoli jej chłopak, to takie wyznanie będzie szokiem przez jeden dzień – mówi ZBIGNIEW HOŁDYS w rozmowie z Patrykiem Grząbką.

Niewiele piosenek zagranicznych wykonawców wzbudza w Polsce tak wielkie emocje jak utwór „Autobiografia”. Czy to prawda, że napisał Pan tę kompozycję w kawiarni Opera w hotelu Victoria?

Dzisiaj jest tam kasyno, a wtedy była kawiarnia przeznaczona dla gości hotelowych. Do Opery przychodzili ludzie świata kultury, biznesu, prawnicy oraz dziewczyny lekkich obyczajów. W tej kawiarni nie obowiązywał mnie przepis, który obowiązywał w całej Polsce: że alkoholu nie wolno sprzedawać przed godziną trzynastą czy w święta państwowe. Zawsze, o każdej porze mogłem się tam napić. Po prostu zaprzyjaźnione kelnerki przynosiły mi przed godziną trzynastą filiżankę, w której zamiast kawy była wiśniówka. Dzięki temu, nie drażniąc innych ludzi, spokojnie siedziałem i lekko się uwaląłem. Na serwetkach rysowałem akordy, pojedyncze nuty, pięciolinie. Pewnego dnia, rozpatrując po pijanemu melancholię utworu „Riders On The Storm” zespołu The Doors, zastanawiałem się, co by było, gdybym wymyślił taką monotonną, powtarzającą się frazę. Nagle wpadła mi do głowy pewna melodia. Szybko zacząłem ją zapisywać. Wtedy jedna z prostytutek podeszła do mnie i zapytała: „Co ty, kurwa, tu notujesz?!”. Zdaje się, że bezwiednie rozglądałem się po kawiarni i dziewczyna pomyślała, że jestem

z obyczajówki. Wyjaśniłem, że jestem Hołdys z Perfectu. Po chwili zleciały się wszystkie jej koleżanki i urządziły mi wielki bal w hotelu Victoria. Trwał kilka dni. Potem wróciłem do domu i zacząłem grać melodię wymyśloną tego dnia w Operze. Dostałem gęsiej skórki. Poczułem, że ta muzyka bardzo mnie wciąga. Zagrałem ten utwór za pierwszym razem od „a” do „z”, tak jak on dzisiaj wygląda.

Powiedział Pan: „Na koncertach widownia robi yeaaaah, ale po ośmiu sekundach emocje opadają. Z Perfectem graliśmy tak, że nie pozwalaliśmy, żeby opadły”. Jaka muzyka wzbudza w Panu dziś największe emocje?

Największe emocje wzbudza we mnie muzyka, którą sam gram. To naturalne, bo jest mi najbliższa duchowo. Kiedy gram smutek, to taki, że chce mi się płakać. Jak gram drapieźnie, to tak, że mi flaki wyrывa. Słucham muzyki innych, ale nie słucham radia. Tam już nie ma muzyki. Nie słucham muzyki polskiej, właściwie wcale, chyba że debiutantów. Polskie zespoły są mało kreatywne. To przeważnie słabe warsztatywo kalki wzorców z zagranicy. Wszystkim wykonawcom, którzy mają namiastkę talentu, a kopiują innych, każałbym jechać na parę miesięcy do Stanów Zjednoczonych. Zaraz by się zorientowali, że tam nie mają szans wystąpić nawet na weselu. Nie chodzi o to, żeby przestali grać, ale by zobaczyli, że

na świecie jest półtora tysiąca znakomitych klonów zespołu White Stripes, które się nie liczą. Norah Jones też czerpie z wczesnych nagrań Joni Mitchell czy Rickie Lee Jones, ale sięga do muzyki sprzed trzydziestu pięciu lat. Współczesna młodzież nie dostrzeże tych analogii i uzna, że Norah Jones śpiewa tak, jak nikt dotąd. Ale już kopie Norah Jones nie mają szans.

Ludzie oczekują nowych rzeczy i prędzej by Zakopower zrobił światową karierę niż ktoś, kto nadal kalkuje Nirvanę. Kiedy byłem w Stanach Zjednoczonych, przyjechał tam zespół z Rosji. Nazywał się Gorki Park. Weszli mi w paradę, bo w tym czasie chciałem osiągnąć za oceanem coś znaczącego. Mieli bardzo dobrą menadżerkę z Kalifornii – dziewczyna w upadku muru berlińskiego dostrzegła okazję do wypromowania w Ameryce muzyków z Europy Wschodniej. Gorki Park w ciągu trzech miesięcy został pokazany we wszystkich znaczących programach telewizyjnych, gościł w talk show Davida Lettermana i Jaya Leno. Chciałem grać w Nowym Jorku w wielkim klubie Button Light, to mi powiedziano, że dopiero za pół roku, bo będzie występował Gorki Park. Byłem zły. Ale zaraz pomyślałem, że jak oni się spodobają, to być może rozpocznie się w Ameryce boom na wykonawców z Europy Wschodniej i to utoruje mi drogę. Niestety, długo

oczekiwany zespół z rozpadającego się Związku Radzieckiego przyjechał ubrany w modne kurtki ramoneski, ponabijane ćwiki, chłopcy mieli natapirowane długie pióra, wypasione gitary i grali jak kopia Bon Jovi. Katastrofa. Amerykański show biznes uznał, że w muzyce z Europy Wschodniej nie ma nic ciekawego.

Mimo to na mój koncert do nowojorskiego klubu CBGB przyszedł tłum, opisano go potem we wszystkich nowojorskich gazetach z „New York Times” włącznie i były to naprawdę znakomite recenzje. Musiałbym jednak grać tam przez kilka lat, żeby rozkręcić swoją zagraniczną karierę. Amerykański sen zespołu Gorki Park trwał chwilę, natomiast popularność chóru Aleksandrowa – jedyne na świecie, który ma w składzie dwadzieścia basów – i klasycznego baletu Teatru Wielkiego z Rosji jest w USA niesłychana. Rosyjscy artyści mają komplet publiczności w Madison Square Garden i to przez trzy wieczory pod rząd, a bilety na ich występy wyprzedawane są w ciągu jednego dnia na pół roku przed ich przyjazdem. Gdyby chór Aleksandrowa zaczął śpiewać muzykę gospel czy hip hop, stałby się pośmiewiskiem, kiedy jednak wykonuje

dumkę, to drzy cała MSG. Te basy brzmią tak nisko, że facetom na widowini jaja pękają od wibracji. Nikt poza Rosjanami nie stosuje takiej harmonii w śpiewaniu i to jest dla Amerykanów fascynujące, a nie kalka. Michał Urbaniak odniósł swego czasu wielki sukces w Stanach Zjednoczonych, ponieważ nagrał płytę pełną kujawiaków, wykonywanych z domieszką fusion, w rytmie na siedem. Amerykańska muzyka nie znała ani tej formy harmonii, ani takiego rytmu i okrzyknięto go fenomenem.

Gdyby wtedy, gdy miałem osiemnaście lat, ktoś mnie zapytał, czego pragnę bardziej: czy mieć takiego syna jak Tytus i taką żonę jak Bogusia, czy też osiągać wielkie sukcesy w muzyce, odparłbym, że pierdolę wszystkie osiągnięcia i mogę pozostać bezimiennym facetem, byleby być z Bogusią i Tytusem.



Chick Corea wprowadził do jazzu elementy latynoskie i zdobył wielkie uznanie w USA, które trwa do dziś. Te przykłady pokazują, że można grać inaczej niż Amerykanie i dzięki temu być cenniejszym na całym świecie. Gdyby Marek Grechuta działał w Stanach Zjednoczonych, osiągnąłby rangę Dave'a Matthews'a czy Randy Newmana. Byłby klasykiem cytowanym w każdym zakątku naszego globu.

To poważna rada dla polskich kapel rockowych: gdyby wyjechały za ocean z dobrą wersją polskiej muzyki ludowej, na przykład góralskiej, która ma świetne, ostre harmonie, kwintowe i kwartowe zagrania na skrzypcach, mogłyby sporo zdziałać. Amerykańska sztuka zawsze była tygłem różnych kultur i jest otwarta na świeże pomysły. Jechanie tam z hip hopem czy soulem będzie paranoicznym pomysłem.

I znowu cytuję Pana wypowiedzi: „Dzień, w którym poznałem Bogusię i dzień, w którym urodził się Tytus – tego nie da się z niczym porównać”. Czy sens życia odnalazł Pan właśnie w rodzinie?

Mając wybór między karierą zawodową a swoim dzieckiem, każdy przy zdrowych zmysłach wybierze dziecko. Myślę, że za tym tęskniłem od osiemnastego roku życia. Gdyby wtedy, gdy miałem osiemnaście lat, ktoś mnie zapytał, czego pragnę bardziej: czy mieć takiego syna jak Tytus i taką żonę jak Bogusia, czy też osiągać wielkie sukcesy w muzyce, odparłbym, że pierdolę wszystkie osiągnięcia i mogę pozostać bezimiennym facetem, byleby być z Bogusią i Tytusem. To jest jedyny sens życia, bo inaczej po co egzystować na świecie? Po to, by robić karierę, żeby się napełnić pychą i kasą? A potem ją przepić i umrzeć w poczuciu, że pokonałem wszystkich? Tyle, że w samotności?

Spędzałem po kilka godzin dziennie na rozmowach z Tytusem, który ledwo co mówił. Miał półtora roku. Codziennie przez kilka lat opowiadałem mu bajki, czytałem opowiadania z różnych książek. Mieliśmy swój własny świat i za nic nie chciałbym opuścić ani jednego dnia z tego cudownego czasu. Już od godziny szesnastej wymyślałem bajkę, żeby wieczorem opowiedzieć ją Tytusowi. Były Supercienie, złapane przez specjal-



ne leśne Pająki w sieć i było Państwo Kartonów, wielkich granatowych tekstur, które mówiły. Miałem duże pole do kreacji. Myślę, że znacznie większe niż w muzyce. Tytus jest dzisiaj bardzo sprawny intelektualnie, ma niezwykłą wyobraźnię, którą mnie niekiedy zaskakuje. Teraz widzę, że dobrze wykorzystaliśmy nasz wspólny czas. Oczywiście rozumiem ludzi, którzy w codziennej gonitwie wracają z roboty

skonani, ledwo wiążąc koniec z końcem, zastanawiają się, jak przeżyć i nie w głowie im opowiadanie bajek dzieciom. Miałem szczęście, że moja sytuacja finansowa pozwalała, żebym przez całe lata nie chodził do pracy i mógł być z dzieckiem w domu. Rock'n'roll jednak do czegoś się przydał.

Wyznał Pan: „Moi rodzice dowiedzieli się, że gram na gitarze dopiero, kiedy jako dziewczętnastolatek trafiłem do zespołu Maryli Rodowicz”. Czy to oznacza, że Pana relacje z rodzicami nie były dobre?

wicz”. Czy to oznacza, że Pana relacje z rodzicami nie były dobre?

Żaden muzyk rockowy pochodzący z bogatego, szczęśliwego domu nigdy nie stanie się znany. Sorki, taka jest prawda. Rodzice często planują przyszłość swoich dzieci, chcąc dla nich jak najlepiej. Moi rodzice chcieli, żebym był prawnikiem, nauczycielem czy lekarzem. Starali się. Nie można mieć o to pretensji. Tyle że ja, mając duszę arty-



Kiedy wychowuję się w domu, w którym mam wszystko, nie wykształca się we mnie instynkt przetrwania. Nie będę miał woli walki. Syn Johna Lennona, Sean, był skazany na klęskę. Miał wszystko i wszystko, co sam robił, porównywano z dokonaniem jego ojca, rockowego multimilionera o nieokreślonym talencie. Dziś, mając trzydzieści kilka lat, Sean nagrał płytę, która jest arcydziełem. Było to możliwe, bo upłynęło odpowiednio dużo czasu, żeby John Lennon stał się postacią bardziej

W show biznesie chodzi teraz głównie o to, kto kogo bardziej zbluzga, niż kto piękniej zagra. John Lennon czy Frank Zappa pozwalali sobie na ekscesy, ale jednocześnie intelektualnie i artystycznie wyprzedzali całą cywilizację.

mitologiczną niż realną. Gdyby Sean nadal miał żywego i aktywnego ojca, prawdopodobnie niczego nie zdziałałby w muzyce.

Rozmawiałem z różnymi artystami, z Korą czy Muńkiem Staszczykiem i wiem, że z rodzicami byli skłóceni. Pewnie chcieliśmy innego świata i nie byliśmy rozumiani. Fisz, zanim skończył trzydziestkę, nie chciał słyszeć o swoim ojcu Wojtku Waglewskim jako partnerze w świecie sztuki. Kazik zdaje się, że w ogóle nie spotkał swojego ojca. Dlatego większość muzyków, w tym i ja, nie zaliczamy naszego dzieciństwa do szczęśliwych. Z drugiej strony, tacy niby szczęściarze jak zespół Nelson, czyli dwóch synów Ricky Nelsona, wydali jedną płytę. Nie poszła i piją. Mają wspaniałe studio, mogą nagrywać z kim chcą i jak chcą. Mogą kupić lot na Księżyc i tam spróbować zarejestrować parę dźwięków, ale im się, kurwa, nie chce, bo to odrywa od butelki. Podobnie jest w rodzinie Osbourne'ów, gdzie próbuje się wepchnąć dzieci do świata muzyki i kupuje się synkowi Lamborghini na osiemnaste urodziny. Ja kiedyś nie mia-

łem nawet najprostszej gitary. Miałem za to takich kumpli jak Janek Himilbach. Gdyby moja matka wiedziała, ile z nim hektolitrów wina wypilem i w jakich okolicznościach, od razu wytarłaby mnie gumką z dowodu osobistego. A dla mnie ta znajomość była jak chłonięcie świata. Janek zdążył już wtedy wystąpić w dwóch filmach, „Wniebowzięci” i „Rejs”. Po prostu nie mogłem się od niego odczepić. Jak się nawalił, pisał mi teksty piosenek, a ja w amoku komponowałem muzykę. To była wątpliwa kładka, po której szedłem do upragnionego celu. Nikt mi nie pomagał. Ale moi rodzice też nie mieli łatwego losu. Rozeszli się, gdy miałem dwanaście lat. W takiej sytuacji nikt nie pyta dziecka o zdanie. Dzieciakowi serce pęka, czuje się osamotniony, lęka się, co z nim będzie – i nie ma na kogo liczyć. Wtedy mały człowiek zamyka się w sobie. Ludzie, którzy się rozwodzą powinni wziąć ode mnie korepetycje, żeby się dowiedzieć, co czują ich dzieci. Nie mam żalu do rodziców, bo nie chciałbym, żeby byli ze sobą na siłę, zresztą pozakładali swoje fajne rodziny. Widocznie tak miało być.

Wspominając czas spędzony w zespole Maryli Rodowici, powiedział Pan: „Zaczęła się historia, do której jako chłopak z podwórka nie byłem przygotowany. Jak wódka – to cysterna dziennie, jak zabawa – to przez tydzień”. Czy są takie chwile bądź zdarzenia, o których chciałby Pan zapomnieć lub wołałby, żeby nie miały miejsca?

Nie. Byłem zatrzymywany przez milicję za bójki, pijackie awantury, groziły mi sprawy sądowe. Maryla wyciągała mnie z tych opresji. Gdybym wtedy wyciął poważniejszy numer i wylądował w pierdlu na dłużej, to pewnie bym dostrzegł, że źle skończyłem. Moje występy były raczej ekscesami chłopaka, który nie mógł złapać równowagi w życiu. Nie żałuję żadnych chwil ani zdarzeń. Uważam, że wszystkie mnie wzbogaciły. Świństwa, które wycieli mi moi koledzy, zacząłem przyjmować jako coś, co się zdarza i trzeba przez to przejść. Sam też robiłem świństwa innym ludziom. Często reaguję przesadnie, szczególnie, gdy ktoś wyrządzi, w moim mniemaniu, komuś innemu krzywdę. Nie komentuję niczych doko-

sty, mówiłem w kółko, że chcę grać i pchałem się do występów. Dla nich to nie było godne miana zawodu. I tu tkwi klucz. Jeżeli dzieciak musi pokonać wszystkie przeciwności losu, żeby coś osiągnąć, wyrabia w sobie wolę przetrwania. Jak uliczny pies. Wie, w którym śmietniku co leży, gdzie jaki skurwysyn czeka z kijem, a gdzie go ktoś nakarmi. Wynajduje najlepsze możliwości, żeby w końcu zostać szefem stada.

nań artystycznych, każdy może śpiewać i malować, jak chce. Ale kiedy Michał Wiśniewski grał za pieniądze dla Samoobrony i stawił SLD – po prostu zabawił się narodem polskim. Niech nie pierdoli, że grał, bo mu płacili i że taki jest show biznes, i że gra się dla każdego, kto daje pieniądze. To była wredna, sprzedajna i kurewska agitacja polityczna. Ciekawe, czy zagrałby dla NSDAP?

Moje reakcje powodują, że dla niektórych Holdys jest chamem i gbur. To trudna sztuka zacząć myśleć umysłem innego człowieka. Z punktu widzenia moich kolegów rozwiązanie Perfectu mogło być krokiem maksymalnie egoistycznym. Ot, Holdys stworzył zespół, pobawił się parę lat i powiedział do widzenia. Mam rozum, widzę te rzeczy i wyciągam z nich wnioski. Ciekawe, czy oni kiedykolwiek wyciągną swoje?

Lata osiemdziesiąte według Pana: „To był ostatni moment, kiedy twórca mógł zostać idolem ze względu na dokonania artystyczne, a nie dlatego że spadł po pijaku ze schodów albo, że się pobił. Świat sztuki zamknął swoje drzwi, teraz jest świat ekscesów”. Dokąd Pana zdaniem zmierza kultura popularna?

Nie potrafię powiedzieć, dokąd zmierza. Wszystko się może zdarzyć. Bójkę na scenie zaproponował zespół The Kinks już w 1963 roku. Regularnie kłócili się tam dwaj bracia. Byli twórcami pierwszych poważnych riffów gitarowych. Są ekstremalne spektakle teatralne, gdzie ludzie dokonują samookaleczeń, dlatego więc jakiś frustrat ma nie podjąć decyzji, że podczas koncertu popełni samobójstwo? Artyści nie mają żadnych zahamowań, żeby mówić rzeczy, które mogą wywołać wokół nich sensację – niezależnie od tego, czy są prawdziwe, czy nie. Gdy piosenkarka powie, że jest zoofilką i pierdoli ją jej pies, którego z kolei pierdoli jej chłopak, to takie wyznanie będzie szokiem przez jeden dzień. W mediach jest tak gęsto od różnego rodzaju sensacji, że każda z nich może przetrwać tylko chwilę. Większość ludzi nie oczekuje dziś od artystów niczego, poza skandalem. Ludzie, jako gatunek, w ogóle wolą popatrzeć na wypadek lub katastrofę niż iść do mu-

zeum. Człowiek lubi oglądać nieszczęścia. Obrazki w mediach są odzwierciedleniem tej potrzeby.

W show biznesie chodzi teraz głównie o to, kto kogo bardziej zbluzga, niż kto piękniej zagra. John Lennon czy Frank Zappa pozwalali sobie na ekscesy, ale jednocześnie intelektualnie i artystycznie wyprzedzali całą cywilizację. Lennon rozsierdził świat mówiąc, że jest popularniejszy od Chrystusa, co wkurwiło ludzi do tego stopnia, że palili płyty The Beatles, a zespołowi groził powszechny bojkot w USA. Tyle że Lennon skomponował „Lucy In The Sky With Diamonds”, „Imagine”, „Woman”, „Give Peace A Chance” i był geniuszem. Frank Zappa, wielki awangardzista muzyki rockowej, rozszerzył ten gatunek do granic, do których dziś właściwie się nie sięga, bo przerosło to możliwości jakichkolwiek muzyków. A jednocześnie Zappa, na pytanie dlaczego przyszedł na koncert The Rolling Stones, odpowiedział dziennikarzowi telewizji NBC: „Mam nadzieję, że któryś z nich obciągnie mi laskę”. Powiedział to jednak ktoś, kto nagrał sześćdziesiąt znakomitych płyt, za kim stała potężna twórczość. Czy dziewczyna, która śpiewa na poziomie zespołu weselnego i mówi na oczach całej Polski, że kopnie drugą dziewczynę w krocze, zasługuje na miano ekstrawaganckiej artystki? Pokazać na estradzie cycek czy laskę może każdy, to się w Polsce nie raz zdarzało. Jim Morrison symulował orgazm, a także podobno onanizował się na scenie, ale jaka była poezja jego dzieł! Za skandalistkę uważa się Madonnę, ale jest ona bardzo inteligentną artystką. Wystarczy zobaczyć jej niektóre koncerty. Kiedyś przyszła do programu Davida Lettermana, który wyznał, że jak ją widzi, to nie może wytrzymać z podniecenia. Wręczyła mu swoje majtki, mówiąc: „Przed chwilą w garderobie zdjęłam je dla ciebie. A teraz pogadajmy o mojej nowej płycie”. W teledysku „Erotica” stała nago i łapała autostop na autostradzie pod Los Angeles. Mówiono, że to skandal, a tymczasem każdy wie, że to jest zabawa, artystyczny wideoklip. Tak, jak pamiętny „Like A Prayer”, gdzie Madonna uprawia seks z Jezusem, którym



Gdyby było tak, jak twierdzi Jagielski, to powinniśmy skasować prawie całą muzykę świata, bo w jego mniemaniu ludzie jej nie chcą. Chcą zapewne tylko te sto piosenek, które proponuje im Radio Zet.

okazuje się być czarnoskóry mężczyzna. Sztuka nie zna limitu, ale najpierw musi być sztuka.

O wiele prościej jest przekonać ludzi do tego, co lekkie i łatwe niż do tego, co dobre i wartościowe. Wle o tym Wojciech Jagielski z Radia Zet, który powiedział, że w mediach nie istnieje podział na muzykę ambitną i nieambitną, ale na taką, którą słuchacze chcą albo nie chcą. Jak walczyć z dyktaturą masowego gustu w czasach kultury konsumpcji?

Gdyby było tak, jak twierdzi Jagielski, to powinniśmy skasować prawie całą muzykę świata, bo w jego mniemaniu ludzie jej nie chcą. Chcą zapewne tylko te sto piosenek, które proponuje im Radio Zet. Stacja komercyjna jest sklepem sprzedającym reklamy. Takim samym jak mój, w którym ja sprzedaję gitary. Trzeba zrozumieć, że Jagielski wypowiada się jak sklepikarz i dokonuje takich wyborów, aby jego sklep przynosił jak największe zyski. Jemu nie chodzi o kulturę. Cywilizacja padła ofiarą dyk-

tatu szybkiego pieniądza. Stworzono system, w którym fale radiowe służą jedynie do robienia interesu, a nie do kreacji artystycznej. Nie da się otworzyć stacji radiowej wyłącznie z muzyką Franka Zappy i bez reklam. Szczerze mówiąc nie wiem, dlaczego tak jest. Dlaczego mam płacić milion złotych za koncesję, skoro chcę dać ludziom radość słuchania muzyki najwyższej próby i nic na tym nie zarobię, bo nie będzie u mnie reklam?

Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nie rozumie, że działa w delikatnej tkance kultury narodowej, a nie wyłącznie polityki i biznesu. W zasadzie zachowuje się jak banda debili, niemających żadnej wizji i zrozumienia swej roli w kształtowaniu świata mediów elektronicznych. Bada źródła finansów, aparaturę techniczną i orientację polityczną podmiotów ubiegających się o koncesję na otwarcie stacji radiowej, a nie zajmuje się tym, co kandydat na nadawcę zamierza zaproponować słuchaczom w swojej ofercie programowej. Dlatego komercyjne radia olewają cały dorobek polskiej muzyki ludowej, jazzowej, poezji śpiewanej. U nich nie usłyszysz takich wybitnych indywidualności artystycznych, jak Ewa Demarczyk, Marek Grechuta, Grzegorz Turnau. Jakim prawem tak się dzieje, że w Polsce musimy wyłącznie słuchać muzyki anglojęzycznej, a muzyka polska nie istnieje? Gdyby KRRiTV miała na uwadze względy kulturotwórcze czy interesy społeczne, a nie piętnastu prywatnych nadawców, nie doszłoby do tego, że działa u nas sto stacji prezentujących tę samą muzykę. Od razu dodaję: nie jest to wina stacji. One robią interes. Ale Krajowa Rada jest od pilnowania spraw całego kraju.

Przyznając koncesję, należało zapytać, co będziecie grać? Przypuśćmy, że pierwsze radio w kolejce powiedziałoby „pop” i dostałoby koncesję. Wtedy drugie, gdyby powiedziało, że też chce grać „pop”, powinno usłyszeć „sorki, zajęte, możecie wybrać sobie jakiś inny gatunek”. Niestety, rozdano wszystkie karty stacjom radiowym tak, jak się rozdaje miejsca na placu pod Stadionem Dziesięciolecia, a nie dano muzyce jako sztuce. Nie ma w kraju radia hip hopo-

wego, choć to potężna subkultura, ma nakłady płyt większe niż gwiazdy pop. Szczerze mówiąc dziwię się, że chłopcy na Stegnach czy Ursynowie nie założyli pirackiej stacji hip hopowej. Gdyby tylko grali muzykę i nie emitowali reklam – natychmiast poparłbym taką inicjatywę, bo spełnialiby misję społeczną. Przecież prezentowaliby formy kultury, które zostały olane w oficjalnym obiegu. Ja wiem, że to zabrzmi dziwnie, ale w czasach komuny Mirek Chojecki wydawał książki nielegalnie, a dziś, po latach, dostał order za to, że ratował wówczas polską literaturę. Niczym się nie różni dzisiejsza ewentualna „piracka” stacja radiowa od ówczesnej oficyny „Nowa”, bo dla artysty nie ma znaczenia, czy cenzor siedzi na Mysiej, w Krajowej Radzie, czy w banku. Na szczęście lada moment każdy będzie mógł założyć w Internecie własną stację radiową. Wielkie komercyjne molochy na razie działają w warunkach monopolu i dyktują warunki, ale niebawem pojawi się dwa tysiące rozgłośni w sieci, które będą miały być może lepszy pomysł na radio. Wtedy się okaże, co bardziej zadowoli słuchaczy: 40 piosenek granych w kółko przez Jagielskiego czy 10 milionów, które rocznie pojawiają się na świecie.

W ubiegłym roku na Przystanku Woodstock zorganizował Pan wraz z Jurkiem Owsakiem Akademię Sztuk Przepięknych. Zaś 24 lata temu w klubie „Stodoła” prowadził Pan cotygodniowy program poświęcony kulturze, zatytułowany „Krwawy wtorek”. Jakby Pan porównał młodych ludzi z czasu „Krwawego wtorku” do tych, których spotyka Pan na Przystanku Woodstock?

Są tacy sami. Tak samo ciekawi świata, ludzi i zjawisk, o których nie mogą się nigdzie dowiedzieć. Bo i skąd, skoro w mediach oglądamy bez przerwy Giertycha, Kaczyńskich, Leppera, Rokietę i innych. To ma być nasz cały świat? W Akademii Sztuk Przepięknych uczestniczyło po pięć tysięcy ludzi w każdym spotkaniu. Przychodzili na rozmowy z Kazią Szczuką i rozmawiali o tym, czym jest feminizm. Marek Garzdecki opowiadał im o historii hipisów. Książdz Wojtek Drozdowicz wyjaśniał, skąd się wzięli katolicy. Zaprosiliśmy też przedstawicielkę gminy żydowskiej, żeby opowiedziała o judaizmie.

Był imam, duchowny islamski. Był Janusz Głowacki. Piotrek Łazarkiewicz. Na tegorocznym Przystanku Woodstock planujemy jeszcze ciekawsze spotkania. Naprawdę będzie sensacyjnie.

Powiedział Pan: „Dziś rewolucja w muzyce trwa tydzień, zaraz są skopiowane przez wszystkich, nawet w reklamie”. Kultura konsumpcji wszystko trywializuje, wchłania i przerabia na pseudooryginalność...

...Po prostu kradnie i mógłbym wyliczać setki przykładów tego procederu. Jako muzyk mam dość dobrą pamięć i zdolność kojarzenia dźwięków. Nikt mnie łatwo w chuja nie zrobi. PiS w swojej reklamówce wyborczej użył całej aury i rytmu piosenki „Sen o Warszawie” Czesława Niemena. Nie zapytali o zgodę Małgosi Niemen, która była tym bardzo rozzarowana. Starali się być cwani, kolejność dźwięków została lekko zmieniona i już nie można było nikomu zarzucić plagiatu. A przecież to był ordynarny faul i dużo mówił o tej partii jako ludziach. Tego rodzaju kradzieże piosenek zdarzają się coraz częściej. Zmienia się jeden akord, aby podszyc się pod znany przebieg. Dzisiejsza technologia umożliwia takie przestępcze działania. W Stanach Zjednoczonych wykorzystano w reklamie człowieka, który śpiewa identycznie jak Tom Waits. Waits wystąpił do sądu, oskarżył firmę o kradzież barwy głosu i wygrał wielkie odszkodowanie. W Polsce trudne do wyobrażenia, a przecież wydaje się oczywiste. Kilka moich piosenek też ukradziono, przyglądam się temu, jakbym patrzył na jakiś nowy obyczaj. Ale powiem ciekawostkę: jedną z nich słyszałem w wykonaniu The Rolling Stones. Partie gitar w „One Hit To The Body” to jest całkowita kalka z „Ale w koło jest wesoło” i ten ich utwór powstał dziesięć lat później. Wiem, że moje piosenki były w swoim czasie prezentowane różnym amerykańskim wydawcom, zresztą nagrywaaliśmy „Ale w koło...” kiedyś w angielskiej wersji w tym samym studiu w Nowym Jorku, w którym Mick Jagger nagrywał swoją solową płytę, a jego producent był moim producentem. Takie podobieństwo to raczej nie mógł być przypadek, ale chuj z nimi. Nie da się wygrać tej sprawy, bo cała linia wokalna jest zmieniona.